

# DZIENNIK WILEŃSKI

Wydawca:  
Aleksander Zwierzyński

Dodatek kulturalno-literacki

## I w Polsce - odrodzenie epiki!

Zyjemy w epoce wielkich przemian, wielkich przełomów, społecznych, kulturalnych, psychicznych. Przełomy te do niepoznania zmieniają oblicze świata: każdy, kto umie patrzeć bez względu na to, z jakiegoby założenia ideowego wychodził i pod jakim kątem na to, co się dzieje, patrzył — nie może nie przyznać, że przemiany te ogromem swym i doniosłością przewyższają wszystko, co się w świecie stało w ciągu wielu, wielu stuleci, i bez przesady mogą być porównane do epoki wielkich wędrówek ludów na początku średniowiecza. Przemiany te pociągają za sobą i kompletne przeobrażenie oblicza sztuki, a więc i literatury pięknej. W jakim kierunku? Śmiało można powiedzieć, że w kierunku odrodzenia epiki.

Epika, ten najwspanialszy, najdosłójniejszy, najpotężniejszy, najszerze horyzonty obejmujący i wszystkie inne rodzaje i formy artystyczne w siebie wchłaniający — rodzaj literacki nie jest mechanicznym dziełem zbiorowości, jak to jeszcze do niedawna nieraz przypuszczano, — ale dziełem wybitnych indywidualistów twórczych, których myśli, pragnienia, wyobrażenia, ambicje i możliwości twórcze, których geniusz i sztuka jednym słowem — uderzają w rytm utajonych i nieświadomych nieraz pragnień, marzeń, ambicji, woli i czynów wielkich zbiorowości ludzkich, których to zbiorowości duszą i odbiciem pięknem ich prawdy wewnętrznej jest właśnie sztuka epicka.

Tak ma się rzecz z Homerem, z autorem trzonu głównego „Mahabharaty“, z wielkim epikiem chrześcijaństwa i życia duszy, Dante, z nieznanym, ale niewątpliwie jednym twórcą „Niedoli Nibelungów“, z Tasseem, z twórcą „Pana Tadeusza“ i z autorami „Wojny i pokoju“ i „Trylogii“.

Dziś, a jeszcze więcej jutro — w dobie upadku indywidualizmu, gdy punkt ciężkości kultury i rozwoju psychicznego ludzkości przenosi się z jednostki na zorganizowane wewnętrznie w myśl tej czy innej idei zbiorowości — sztuka, że by żyć, musi uderzać w rytm życia tych zbiorowości. Tu tkwi główna tajemnica jutrzejszego triumfu epiki, lecz nie będzie to tylko triumf noworodzącej się, dzisiejszej czy jutrzejszej rzeczywistości, — będzie to też i zwycięstwo przeszłości, zwycięstwo nierozdzielnej ciągłości wszystkiego, co się dzieje w świecie, a przede wszystkim w sztuce.

Epika bowiem jest tradycjonalistyczna, jak żaden inny rodzaj literacki, czy to w zakresie tradycji środowiska, w którym się rodzi, a więc narodu, (jest bowiem zawsze najbardziej narodową ze wszystkich rodzajów sztuki), czy też w dziedzinie tradycji artystycznych, uznających pewne niezmiennie, niewzruszone, wiecznotrwale wartości, które są dziś tak samo, jak za czasów Homera, warunkiem koniecznym zrobienia dzieła epickiego dziełem prawdziwej sztuki.

Toteż gdy uniwersalizm i upadek indywidualizmu w naszej epoce tłumaczy nam poniekąd to zjawisko, to z drugiej strony istota epiki, jako sztuki najbardziej narodowej i najsilniej związanej z tradycjami przeszłości, a przytem rodzaju literackiego, najbardziej konserwatywnego i uznającego wiecznotrwałość pewnych niewzruszonych form artystycznych, nie może nie wzbudzić w nas pewnego zdumienia, że renesans epiki w wieku XX-tym rozpoczyna się w środowisku, gdzie wprowadzić indywidualizm w zupełności jest podporządkowany zbiorowości, jej psychice, życiu i woli, ale gdzie też w stopniu najsil-

niejszym neguje się wszelką tradycję narodową i artystyczną, gdzie sztukę Jutra wszelkimi sposobami usiłuje się oderwać od związku ze sztuką Wczoraj — w Rosji Sowieckiej!

Istotnie: epika wraz ze swym silnym związkiem z wszelką tradycją artystyczną, ze swym silnym, choć często i nieświadomym instynktem narodowym, ze swą siłą, rozmachem, bujnością, barwnością, plastyką — a co szczególnie znamienne w środowisku, opętańczo opanowanym przez doktrynę — ze swym beznamiętnym spokojem i dążnością do bezstronności odradza się w ZSSR. — w epopeach, kozackich Michała Szołachowa i we wspaniałej powieści historycznej Aleksego Tołstoja „Piotr Pierwszy“.

Czyżby więc znowu ex oriente lux? I to z takiego wschodu, skądby, zdawałoby się, żaden promień już nie mógł przyświecać naszemu, „burżuazjnému“ światu?

Uspokójmy się. Bezspornie, odrodzenie epiki w ZSSR, silny wywrze wpływ na literaturę światową, w szczególności zada cios tak zwanej literaturze „awangardowej“, dążącej do zupełnego zerwania wszelkich związków z literaturą przeszłości i z wszelką tradycją literacką, „awangarda“ bowiem wszystkich krajów zapatrzona była, jako we wzór najdoskonalszy, w przekreślającą wszystkie związki z dziedzictwem Wczoraj — literaturę sowiecką. Gdy zaś ta literatura zmieniła front i przynajmniej w dziedzinie formy nawraca do do tradycji, to nie trudną zgadnąć, jaki los czeka „awangardy“ pomniejsze...

U nas jednak w Polsce — i to narazie, zdaje się, tylko u nas — obejdzie się bez inicjatywy sowieckiej. Oto w ciągu ostatnich lat dwu ukazały się cztery powieści polskie, które wywołały duży ruch i ożywienie w atmosferze zastoju, jaka cechuje nasze życie literackie. Trzy spośród nich, to nieodrodne dzieci naszej epoki („Złoty krzyż“ Struga, „Zazdrość i medycyna“ Choromańskiego, „Mateusz Bigda“ Juliusza Kaden-Bandrowskiego), — czwarta jednak rozpoczyna nowy rozdział w historii polskiej: rozpoczyna epokę odrodzenia epiki.

Powieścią tą jest cykl „Noce i dnie“ Marii Dąbrowskiej, składający się z „Bogumiła i Barbary“, „Wiecznego zmartwienia“, „Miłości“ (2 części) i tomu czwartego, który jeszcze się nie ukazał (nakładem Tow. Wydawniczego J. Mortkowicza w Warszawie).

Cykl ten powieściowy był wielkim sukcesem artystycznym i wydawniczym. Autorka otrzymała najwyższe polskie odznaczenie dla pisarza — państwową nagrodę literacką. O „Nocach i dniach“ napisano już tysiące, a może już dziesiątki tysięcy wierszy, recenzji, artykułów, wywiadów. Na tem więc miejscu zajmijmy się tą powieścią tylko jako pierwszą jaskółką bliskiego odrodzenia epiki, jako, być może, przedświem nowego dnia literatury, w niczem niepodobnego do dni i nocy ostatnich, jako triumfem sugestywnej, wysoko artystycznej powieści narracyjnej, plastycznej triumfem — jednym słowem — przystosowanej do ostatnich wymagań sztuki powieściowej, tradycji beletrystycznej — nad wszelkiego rodzaju „awangarda“ powieściopisarską.

Przedmiotem, tematem powieściowe-

go eposu Dąbrowskiej jest życie społeczeństwa polskiego — ściślej mówiąc — średniego i drobnego ziemiaństwa z Królestwa w okresie między powstaniem 63-go roku, a rewolucją r. 1905-go. Przed czytelnikiem przesuwają się niezliczona ilość postaci, najrozmaitszych typów ludzkich, „robionych“ niby tak, jak to się robiło w powieściach Balzaca, Dickensa, Orzeszkowej — w rzeczywistości jednak autorka posługuje się doskonałym, choć starannie ukrytym, aparatem psychologicznym, nawskroś powojennym, dzisiejszym, a że go nie ujawnia hałaśliwie, nie krzyczy urbi et orbi „Patrzcie, jak dobrze znam wszystkie tajniki sztuki nowoczesnej, jak świetnie niemi się posługuję!“ — dowodem to nie tylko wielkiego jej talentu i umiaru artystycznego, ale i prawdziwie poważnego stosunku do własnej twórczości: posługuje się ostatnimi zdobyczami psychologii, techniki pisarskiej czy socjologii w celu udoskonalenia swego dzieła, połączenia w nim tego, co wieczne, z tem, co dzisiejsze, najświeższe, a nie poto, by jej nowoczesność podziwiano.

Analogia z Orzeszkową, rzeczywiście, może narzucić się odrazu, ale podobieństwo między dwiema pisarkami polskimi w dziedzinie powieści obyczajowej, psychologiczno-socjologicznej jest takie, jakie w zakresie beletrystyki egzotycznej zachodzi między Józefem Conradem, a Stevensonem...

Amatorzy literatury „awangardowej“ zdefiniowali „Noce i dnie“, jako „epopeę nudów“; rzeczywiście, gdy książkę tę bierzemy do ręki, z początku robi wrażenie monotonnej, rozwlekłej, nawet nudnej, lecz gdy „wejdziesz się“ w nią — porywa i pochłania, zmusza do życia w kole czynów, interesów, wzruszeń, uczuć jej bohaterów — jest pod tym względem w stu procentach podobna do „Komedii Ludzkiej“ Balzaca, który z początku też nudzi, a nawet nuży, potem zaś pochłania i przykuwa do siebie.

Mimo pozornej rozwlekłości, stanowi „Noce i dnie“ kompozycję zwartą, każdy obraz, każdy szczegół, każde słowo — są tam potrzebne, i choć niema w powieści żadnych telegraficznych skrótów ani sugestywnych syntez, tempo posiada wcale nie powolne, ale żywe, wciągające, przykuwające, porywające.

Epickość „Nocy i dni“ to epickość najwyższej klasy, aż dziw, że w naszych czasach, w epoce liryzmu beletrystycznego, psychoanalizmu, kinematografizmu etc., umie ktoś pisać tak doskonale po epicku. A co najważniejsze, co podnosi jeszcze wartość niezwykle harmonijnej wszystkich elementów — to fakt, że „Noce i dnie“ są w dużej mierze utworem autobiograficznym, i to być może — najbardziej pasuje Dąbrowską na rasową autorkę epicką, że potrafiła uniknąć wszelkiego liryzmu, wszelkiego egotyzmu, że nawet elementy autobiograficzne traktowane są z takim samym niezmacnym beznamiętnym i bezstronnym spokojem, co i pierwiastki inne. Dąbrowska umie wszystko postawić na właściwej płaszczyźnie i na wszystko spoglądać z

właściwego oddalenia; umiejętność to nie mała, szczególnie, gdy chodzi o momenty erotyczne.

Trudno w dzisiejszej literaturze pięknej znaleźć drugiego autora, a w szczególności autorkę, która by umiała na właściwym miejscu postawić życie erotyczne dwojga ludzi, umiejscowić je należycie w całokształcie elementów, które się składają na życie rodzinne. Dla większości pisarzy dzisiejszych wspólne pojęcie dwojga ludzi — to tylko „noce“, Dąbrowska jednak widzi i noce, i dnie...

Potężny rozmach epicki autorki słabnie, gdy z koła zagadnień erotycznych, rodzinnych, psychologicznych i indywidualnych przenosi się na teren psychologii zbiorowej, na teren zagadnień zbiorowych — społecznych, politycznych. Przyczyna tkwi nie w talencie pisarskim Dąbrowskiej, ale w jej płci: nikt chyba nie uzna za antyfeminizm twierdzenia, że konstrukcja psychiczna i artystyczna kobiety znacznie lepiej się czuje i orientuje w tajemnicach, najgłębszych nieraz, życia wewnętrznego, w szczególności w sferze instynktów erotycznych i rodzicielskich, niż na szerokiej płaszczyźnie życia zewnętrznego, na terenie niesubtelnych bynajmniej, ale bardzo skomplikowanych stosunków życia zbiorowego.

Tem niemniej „Noce i dnie“ przepojone są duchem epickości i niby w zbroję stalową, we wspaniałą, tradycyjną, od wieków niezmienną, a trudną — formę słowa i obrazu epickiego są zakute. — Weźmy choćby taki czysto zewnętrzny drobiazg: pierwsze zdań kilka ogromnego cyklu powieściowego i wogóle cały wstęp. Zwięzłe, treściwe, niby suche, a w gruncie rzeczy żywe i barwne, idealnie narracyjne zapoznanie z rodziną Ostrzeńskich i jej losami — czyż nie przypomina początku „Niedoli Nibelungów“? — a już stanowczo wywołuje w pamięci skojarzenie z początkiem sienkiewiczowskiego „Potopu“: — Był na Żmudzi możny ród Billewiczów...

Renesans epiki polskiej rozpoczął się skromnie — od powieści obyczajowej, od malowania małej wsi szlacheckiej i ludzi naogół dosyć małych... Miejmy nadzieję, że stawać się będzie coraz śmielszy, że sięgać będzie po tematy coraz to większe, coraz to bardziej epickie... W Rosji Sowieckiej odrodzenie epiki zaczęło się od obrazu wsi kozackiej i jej życia, sięgnęło potem po temat walki społeczno-politycznej o kolektywizację wsi, potem poszło dalej — po epicki prawdziwie, chwilami bohaterki temat wojny domowej — wreszcie w „Piotrze I“ roztoczyło wspaniały obraz najważniejszego momentu w dziejach Rosji — robienia z Azji — Europy!...

U nas czekają na swych epików powstanie listopadowe, epoka Zygmunta i Batorego, wielki czyn „zbierania“ rozdrobnionej Polski Piastowiczów, wreszcie dwie epoki tworzenia się państwa: z lat 1914—1920 i 960—1025.

Drogę epicy będą mieli już nietrudną: utarowały im ją triumfy Marii Dąbrowskiej.

TEODOR PARNICKI.

# Polska Misja Katolicka w Chinach

W czasach obecnych, gdy każdy dzień przynosi nowe wrażenia o wysokim napięciu emocjonalnym, trudno wywołać odruch szczerego podziwu. Dzieła miłosierdzia, poświęcenia, nie znajdują już tak silnego echa, jak w czasach, gdy walka o chleb codzienny nie wyczerpała wrażliwości na dół czy niedolę drugich.

Przedmiotem wzbudzającym mój podziw, była Polska Misja Katolicka w Szuniefu, w Chinach.

Przed trzema laty wyruszyło z Polski, ze Zgromadzenia Misjonarzy w Krakowie, dwu księży, by po zaaklimatyzowaniu się i zapoznaniu z lokalnymi warunkami, założyć placówkę misyjną w Chinach. Równocześnie przybyło z Polskiej trzech kleryków, by po dokończeniu studiów teologicznych na Dalekim Wschodzie, powiększyć grono tutejszej placówki. W latach następnych przybywali grupami nowi misjonarze polscy.

Od dwu lat placówka objęła misję w Szuniefu, a od kilku miesięcy pracuje już samodzielnie. Prefekt jej, ksiądz Krauze, ma władzę biskupa. Ksiądz Krauze jest właśnie z tej pierwszej grupy, przybyłej do Chin przed trzema laty i on jeden posiada poprzednie doświadczenia misyjne, zdobyte w ciągu dziewięciu lat pracy w puszczy brazylijskiej. Obecnie pracuje w Szuniefu jedenastu księży, dwu braci zakonnych — Polaków i dwóch księży chińskich.

Centrala misji mieści się w Szuniefu, a w dużym okręgu prowincji Hopeh (czasem w promieniu 100 km.) rozsiadanych jest kilka mniejszych placówek. W samym Szuniefu przebywa czterech księży.

Wśród nich szczególną mają uwagę, jako lekarza, zwrócił ksiądz doktor Szuniewicz. Człowiek zbliżający się do pięćdziesiątki, świetny specjalista chorób ocznych i dziecięcych. Przed kilku laty porzucił pracę w klinikach w Polsce, mimo, że rokowała ona możliwości ponętnych stanowisk, odbył studia teologiczne i przyjechał na Daleki Wschód. Przybył do Chin i to właśnie do prowincji, gdzie jego talent wybitnego okulisty, znalazł olbrzymie pole do pracy. Dziś, z bajecznie małymi funduszami, funkcjonuje szpital oczny na 70 łóżek. Do pomocy przybyły z Warszawy Siostry Szarytki.

Praca w szpitalu trwa od wczesnego rana do późnego wieczora. Ksiądz Szuniewicz, jedyny lekarz w szpitalu, założył poza centralą przechodnie oczne, gdzie prostsze zabiegi lekarskie wykonują wyuczone przez ks. Szuniewicza, Siostry Szarytki i pomocnicy-sanitarjusze chińscy.

W samym szpitalu ksiądz-lekarz kształci zastęp młodych Chińczyków-chrześcijań w prostszych zabiegach okulistycznych.

Raz na tydzień, ksiądz-doktor objężdża swe przychodnie w odległych placówkach. Nieraz ponad 100 km. przebywa na rowerze, po okropnych ścieżkach chińskich. Poza pracą lekarską, ks. Szuniewicz spełnia swe obowiązki kapłańskie.

By zilustrować pracę lekarską w misji, niech posłużą cyfry: Liczba zgłaszających się chorych w szpitalu i przychodniach wynosi około 500 osób dziennie!! Ciężkich operacji ocznych, jak katarakta, jaskra itd., dokonano w roku ubiegłym 400!! Cyfry te w tym roku będą napewno wyższe, gdyż ilość chorych dochodzących stale wzrasta, ró-

wnolegle z szerzącą się sławą wybitnego specjalisty, księdza-Polaka.

Trudno nawet pojąć możliwości techniczne tego wielkiego dzieła, jeśli się zważy dotkliwy brak funduszy. Ksiądz Szuniewicz długo musi się namyślać, nim zadecyduje kupno nowego noża operacyjnego. Posiadanie lepszego instrumentarium lekarskiego mogłoby ułatwić pracę i ulżyć wielu cierpiącym.

W części wspiera misję chętna pomoc sfer kościelnych w Polsce. Ale tak mało znanym jest ogółowi, ciche, wielkie dzieło, dokonywane się tysiące kilometrów zdala od ojczyznanego kraju.

Poza pracą misyjną i lekarską odbywa się w Szuniefu nauka w licznych szkołach misyjnych. Nieuleczalni ślepi mają tu też schronienie. Siostry Szarytki utrzymują żłóbek dla niemowląt.

przebywa w nim przeszło stu małych Chińczyków.

Gdy ksiądz Szuniewicz wchodzi do szpitalnej sali, rozbrzmiewa chór głosów chińskich: „Dzień dobry księdzu“.

Nie wiele upłynie czasu, a w północnych Chinach będzie głośno o kraju, skąd przyszli ci dzielni misjonarze.

Nankin, w czerwcu 1934.

J. Wielawski  
Dr. Med.

## Gdzie niegdyś stał kolos rodyjski

Położona na wschodnim krańcu Morza Śródziemnego wyspa Rhodos (Rodi) przyciąga z daleka wzrok turysty swą niezrównaną panoramą. Niedarmo nazwę jej wywodzą helleniści od greckiego „rhodon“ (róża), lub też od nimfy „Rhodes“ córki Neptuna i Halu. Wyspa to słońca i kwiatów. A równocześnie jedno z tych miejsc, z których odcyfrować można historię kultury i cywilizacji ludzkości. Miejsce ścierania się Zachodu ze Wschodem.

Przechodziła ona rozmaite, zmienne koleje losów. Zdaniem archeologów pierwsi mieszkańcy tej wyspy przybyli na nią z Krety, ustępując wkrótce miejsca kolonistom fenicjańskim. Koło roku 1000 przed Chrystusem wyspa dostaje się pod władzę Greków. Z tego okresu czasu datuje się założenie trzech miast: Lindos, Ialysos i Kamiros, o których wzmiankę znajdujemy w Homerze, a które razem z Koos, Knidos i Halikarnasem utworzyły związek, znany w historii pod mianem hexapolis doryckie.

Z biegiem lat Rhodos staje się ważnym ośrodkiem handlowym, politycznym i religijnym, dochodząc do szczytu potęgi. Z tego okresu czasu datuje się też założenie stolicy, nazwanej imieniem wyspy, a to wedle planów Hippodamosa z Miletu.

Złączona losem swym z Grecją, przechodzi wyspa napady Persów i bierze udział w rozlicznych wojnach. Na pamiątkę zwycięskiego odparcia ataków Demetriusa Poliocertesa wystawili mie-

szkańcy wyspy w roku 305 olbrzymią brązową statuetkę, znaną w historii jako „kolos rodyjski“, a uchodzącą za jeden z siedmiu cudów świata.

Statua ta, 30-metrowej wysokości, obalona w pół wieku później, padła wreszcie ofiarą Saracenów, którzy w r. 653 uwieźli ostatnie jej szczątki.

Pod panowaniem Rzymian Rhodos rozwija się dalej, stając się za Djoklejana stolicą całej prowincji.

Stynny list św. Pawła do Rodyjczyków pozwala zorientować się co do początków chrześcijaństwa na wyspie.

24 grudnia 1522 Kawalerowie Rodyjscy zmuszeni kapitulować, opuszczają wyspę, by wkrótce potem osiedlić się na Malcie.

Rhodos przechodzi pod panowanie tureckie, pod którym pozostaje do roku 1912. Oddany, wraz z wyspami „Dodekanezu“, Włochom jako „zastaw“, zostaje im definitywnie przyznany traktemem w Lozannie z dnia 24 lipca 1923 (ratyfikowanym 6 sierpnia 1924).

Dziesięciolecie przejścia tych wysp pod władzę swoją święciły Włochy bardzo uroczysto. Z usprawiedliwioną dumą mogą też spoglądać na owoce swej dziesięcioletniej pracy. Wzniesiono cały szereg wspaniałych gmachów; rozbudowano doskonałą sieć wygodnych dróg i gościńców; uporządkowano administrację i stosunki bezpieczeństwa. Dzięki tolerancyjnej, a rozsądnej polityce rządu włoskiego zniknęły odwieczne waśnie i zatarły się różnice społeczne, religijne i

narodowe między czterema narodowościami, zamieszkującymi wyspę (Włosi, Grecy, Turcy i Żydzi).

Rząd włoski podjął też na wielką skalę prace archeologiczne, a liczne i wspaniałe wykopaliska z epoki greckiej i rzymskiej stanowią prawdziwą ozdobę miejscowego muzeum, mieszczącego się w dawnym gmachu szpitalnym Kawalerów Maltańskich.

Posiada też Rhodos wszelkie dane, by ściągać do siebie rzesze międzynarodowych turystów. Przedewszystkiem cudowne, malownicze położenie i łagodny, niezbyt gorący klimat. Wspomnienia zamierzchniej, świetnej przeszłości spotyka się na każdym kroku: charakterystyczne wąskie uliczki, tchnące tajemniczym Wschodem, potężne bastiony i mury fortecy, z której ongi Kawalerowie Rodyjscy odpierali ataki wroga, oryginalne kamienne wiatraki, dziś nieczynne, częściowo w ruinie, używane niegdyś do pompowania wody źródlanej, i wreszcie barwne tłumy ludności, pstrej mieszaniny typów orientalnych i południowo-europejskich.

A między bujną zielenią parku, u stóp starożytnego rzymskiego akweduktu szemrze małe źródelko: kto się raz z niego wody napije, ten musi powrócić na Rhodos, mówi podanie. Więc, miły czytelniku, jeśli znajdziesz się kiedy na Rhodos, nie zapomnij napić się wody z tego źródelka!..

(kr.)

## Natura mistrzem człowieka

Człowiek, uważający się za „pana wszelkiego stworzenia“, lubi szczycić się swymi rozlicznymi wynalazkami, ułatwiającymi mu życie. Przyznaje się chętnie od ich ojcostwa, zabezpiecza się różnymi patentami przed naśladownictwem...

Czy jednak jest tak w rzeczywistości? Zbyt łatwo zapominamy o innym wielkim wynalazcy, który swych niezliczonych kreacji nie chroni żadnym patentem, który pozwala się kopjować bez słowa protestu, — o wynalazcy, który wszystko przewidział na długo przed nami, — a którego my tylko naśladowujemy, jakże do tego nieudolnie!

Tym wielkim, najstarszym wynalazcą jest Natura. Ona to dała nam tysiące i miliony wzorów we wszystkich dziedzinach naszego życia. Ona to dała nam cudowne wzory i formy artystyczne, spotykane na każdym kroku zarówno w świecie organicznym jak i nieorganicznym.

Wystarczy rzucić okiem na rozmaite mikroskopijne niemal żyjątka, znajdujące w głębinach morza, na te t. zw. radiolaria, których misterne, artystyczne wręcz formy, oglądane pod mikroskopem przypominają najkunsztowniejsze arcydzieła jakiegoś Benvenuto Cellinie-

go. Wystarczy spojrzeć na symetrycznie uszeregowane kolce kaktusów lub na przekrój pnia drzewa zwanego „fajkowcem“, — czy wreszcie na zdradliwe pułapki, — owe zamykane „kufelki“ egzotycznej rośliny owadożernej „Nepentes“, aby zdać sobie sprawę, w jak szerokim stopniu człowiek korzystał od wieków z tych żywych wzorów w swej twórczości.

Ale zainteresowanie ludzkie szło nie tylko w kierunku artystycznym, lecz również — i przedewszystkiem — w kierunku utylitarnym. I na tem polu natura była mu nauczycielem.

Rzućmy okiem na delikatną sieć pająka. Czyż nie jest ona prototypem naszych sieci rybackich? A stery przyłodziach, czyż nie są naśladownictwem ogonu ryby? Nawet zwyczajny lep na muchy przypomina nam kameleona lub mrówkojada z ich wąskim językiem nasycionym gęstą, lepłą ciecżą.

Analogie spotykamy na każdym kroku, z tą jednak różnicą, że człowiek zawsze naśladowuje tylko urządzenia, istniejące w świecie fauny i flory od niepamiętnych czasów, — i to urządzenia znacznie subtelniejsze i doskonalsze.

Weźmy znowu mikroskop do pomocy: Znana powszechnie tzw. strzykaw-

ka Pravatzka wydaje nam się szczytem techniki i subtelnej mechaniki. W powiększeniu stokrotnym jednak, w porównaniu z żądłem muchy tse-tse lub komara, swego pra-wzoru, wydaje się instrumentem niemal prymitywnym, grubym, niezdarne wykonanym.

Takasama olbrzymia różnica zachodzi między końcem najcieńszej igły, a włoskiem parzącej zwykłej pokrzywy, kilkadziesiąt razy cieńszym, a niesłychanie ostro zakończonym.

Drucik żarówki elektrycznej nie wytrzymuje żadnego porównania z cieniutką nitką pajęczą; najbardziej precyzyjnie wykonany pilnik pod mikroskopem nie wytrzymuje porównania ze szczęką pijawki, zaopatrzoną w szereg miniaturowych, ostrych „zabków“, które przegryza skórę.

Przykładów możnaby cytować bez liku. Wszystkie one mówią jedno: geniusz wynalazcy człowieka jest zaledwie słabą imitacją natury. A im bardziej zbliżamy się do natury, im dokładniej obserwujemy tę niewyczerpaną różnorodność form i przedziwnych, celowych urządzeń, tem bardziej chyliny czoła przed Stwórcą świata i Jego dziełem.

(R.)

# „Baszta prochowa“ we Lwowie

Cztery lata już blisko lat dzwiga na swych potężnych ongi barach, baszta, co piersią swą odpierała oblężenia tatarskie, ruskie, tureckie w latach 1648, 1655 i 1672. Jedyna dziś pozostałość z dawnych, lwowskich fortyfikacji miejskich, „in qua pulvis nitratus Reipublicae deponetur“.

Baszta prochowa...

Wiele burz dziejowych przeszło nad nią i miastem, którego broniła; wiele widziała, wiele przeżyła, a jednak przetrwała do dni dzisiejszych, gdy z innych zabytków świetnej przeszłości Lwowa ni śladu nie zostało. Ale bo też została wybudowana z tym samym monumentalnym zmysłem, który w porównaniu do dzisiejszego, tak wybitnie cechował dawne lwowskie budownictwo. Wybudowała ją mieszczaństwo lwowskie w latach 1544 — 1556 dla celów obrony miasta. I była naprawdę obronna: materiału do budowy dostarczył stary arsenał, który równocześnie rozbierano, wznosząc na jego miejsce nowy;!) same mury niezwykle grubości murowane były w ten sposób, że kamień zalewany wapnem utworzył prawdziwą opokę, wprost nie do rozbicia. Powstał budynek dwupiętrowy na zewnętrznym wale<sup>2)</sup> Troje żelaznych drzwi prowadziło do wnętrza, podzielonego na komory i urządzonego w trzech kondygnacjach za pomocą 59 olbrzymich tramów, które w najlepszym stanie dochowały się do dziś.

Baszta prochowa, oboż swego fortyfikacyjnego charakteru miała główne przeznaczenie jako magazyn materiałów wojennych a w czasach pokojowych... jako spichlerz. Prostu za pewną opłatą odnajmowano lwowskim kupcom poszczególne komory na przechowywanie żyta, krup, grochu, jagiel, z czego największą uciechę i pożytek miały „lwowskie wróble, tak, że musiano wkońcu zakładać w oknach „krafki druciane, żeby ptaki nie szkodziły“. Gdy jednak nadchodziła zawierucha wojenna, znikali z baszty, groch i jagły, a okna strzelnicowe jeżyły się paszczami armat i muszkietów. Był to bowiem punkt bardzo ważny pod względem strategicznym, gdyż działa jego ostrzeliwały ogniem ukośnym i frontowym całą przestrzeń od Wysokiego Zamku aż po szlak Łyczakowski. Tu też smotnie rozbijały się najzaciętsze ataki przeciwnika, czy był nim Chmielnicki z Tuhajbejem, czy moskiewski generał Buturlin, czy z dalekiej przybyły Porty, Kapudan hasza. Słabo zaopatrzona w broń i załogę uległa baszta prochowa dopiero w r. 1704 w czasie najazdu szwedzkiego Karola XII. Spłonął wtedy nad nią dach gontowy, a wewnątrz zostało mocno zdezolowane. Zrehabilitowała ją na nowo miasto kosztem 4758 złp. w roku 1706; tuż przed pierwszym rozbiorem Polski przemieszkiwali w baszcie prochowej generałowie moskiewscy, konsystujący we Lwowie. W roku 1772 basztę zajął rząd austriacki, któremu służyła początkowo na skład saletry, potem na magazyn mundurów wojskowych. U schyłku XIX wieku ten „ostatni świadek i pomnik rycerskiej przeszłości lwowskiego mieszczaństwa“ miał ulec zagładzie — z powodu niezbyt c. k. austriacko-koszarowego wyglądu. Uratował basztę ówczesny konserwator starożytnych zabytków Lwowa Władysław Łoziński, który założył stanowcze veto przeciwko burzeniu przesławnej szczytka dawnych fortyfikacji miejskich. Łoziński sprawę wygrał, baszta drogą kupna w r. 1895-tym z powrotem przeszła w posiadanie miasta.

I wtedy to wyloniła się myśl zaadaptowania baszty prochowej na pomieszczenie wspaniałych miejskich archiwalnych zbiorów, umieszczonych przewo-

rycznie w gmachu ratusza. Ówczesny prezydent miasta śp. Mochnacki polecił sporządzenie i wykonanie odnosnych planów architektowi Łużeckiemu, który wykonał dwa projekty, może niezbyt ładne ani pod względem stylowym oryginalne, zasługujące jednak na uwagę jako dowód, że baszta prochowa nadaje się całkowicie do celów adaptacji. Trzeci projekt był dziełem inż. Mokłowskiego, który utrzymał w głównych zarysach starą strukturę baszty, zachowując jej pierwotny charakter i przeznaczenie fortyfikacyjne. Niestety po ustąpieniu śp. Mochnackiego plany te poszły w zapomnienie i na przechowanie do archiwum. Basztę pozostawiono jej losowi, archiwum zostało po staraniu w ciasnym i pod każdym prawie względem nieodpowiednim dla siebie pomieszczeniu.

Nie pomógł „Memorjał“ kilkunastu najwybitniejszych uczonych lwowskich, skierowany w r. 1905 do ówczesnej rady miejskiej. W ciemności, ciemności — jak powiada „Memorjał“ spoczywają takie bogactwa jak: przeszło 800 dyplomów pergaminowych od r. 1234, po większej części królewskich, pierwszorzędne źródła do dziejów wcielenia Lwowa do Polski od r. 1356, nieprzerwany szereg ksiąg radzieckich, sądowych i administracyjnych od r. 1832, ksiąg rachunkowych od r. 1404, listy historycznej wartości, wyżej trzech tysięcy, w tem królewskie od Aleksandra Jagiellończyka i Zygmunta Staroego, ościennych monarchów, sultana Mahometa IV, czy gospodarów wołoskich, czy Karola XII, secinny listów prawie wszystkich w Rzeczypospolitej wybitnych — Zamojskiego, Czarnieckiego, Koniec-

polskiego, Sobieskiego, Sieniawskiego; jest tam olbrzymia korespondencja szlachty i miast polskich, są listy Chmielnickiego. A do wewnętrznego życia Lwowa, miast, kresowego życia i kresowej walki, do historii prawa, ustroju politycznego, administracyjnego, władz i urzędów, narodowości, religijności i obrządków, cywilizacji, asymilacji, ekonomicznego życia — tysiące fascykulów, dokumentów i aktów. „Skarbnica nieprzebrana, jak zbiory nazywał śp. prez. Rutowski, do historii rodów, ludzi, wszystkich objawów społecznego życia.“

Obecnie bogate te zbiory, jak już donosiliśmy, mają być przeniesione do budynku biura kablowego przy ul. Czarnieckiego po wybudowaniu biur M. Z. E. przy ul. Pałczyńskiej. Po odpowiedniej architektonicznej przeróbce biura kablowego zbiory znalazłyby tam dla siebie odpowiednie pomieszczenie. Pozostaje więc sprawa baszty prochowej. Projekty jej przeróbki na archiwum miejskie upadły głównie z powodu ogromnych związków z tem kosztów a także i niezwykle silnego wzrostu zbiorów miejskich, dla których baszta, mimo iż jej parter i duże kondygnacje tworzą ogromne sale o 10 metrach długości a 13 szerokości, byłaby dziś pomieszczeniem niewystarczającym.

W r. 1925 zrodził się w związku z tem projekt utworzenia w baszcie lapidarium z szczątków starej architektury i ornamentyki lwowskiej, pochodzących z rozebranych starych kamienic lub znalezionych przy robotach ziemnych. W tym celu śp. prez. Neumann rozpoczął restaurowanie baszty. Odnowiono dach i wznowiono częściowo mury i fundamenty. Ro-

boty te niezbyt zresztą szczęśliwie przeprowadzane przerwano z ustąpieniem prez. Neumanna i baszta dalej stoi opuszczona — napół chyłca się ku upadkowi rudera.

W ostatnich czasach zainteresował się basztą prochową śp. prof. Obmiński, który rzucił projekt dokładnego odrestaurowania całego zabytku z zachowaniem wszakże jego dawnego charakteru wojennego. Wewnątrz przywróconoby dawny podział na trzy kondygnacje, z których każda byłaby przeznaczona na umieszczenie jakiejś dioramy (jak wiadomo, Lwów posiada wspaniałą dioramę, przedstawiającą jego wygląd przed r. 1772 w porównaniu z obecnym wyglądem. Nadto w zbiorach miejskich spoczywa w skrzyżowaniach od 1910 r. diorama bitwy grunwaldzkiej, dzieło Zygmunta Rozwadowskiego, która w wspomnianym roku było wystawione w Krakowie w „rondlu“ bramy Florjańskiej.

Projekt śp. prof. Obmińskiego zasługuje w całej pełni na jaknajszersze zrealizowanie, przez co miastu przybyłaby nowa, pierwszorzędna atrakcja. Czas już najwyższy, aby ten historyczny zabytek, stojący ciągle jakby straszdyło w stanie napół ruiny przestał oszpecać najpiękniejszy zakątek Lwowa. Niewielkim kosztem może stać się przecież prawdziwą i cenną jego ozdobą a przestanie być wyrzutem sumienia administracji miejskiej, że z ostatnią z dawnych, sławą owianych baszt tak po macoszemu się obchodzi. Sądźmy, że p. dyr. Antoni Olszewski, który tyle okazał energii przy odsłanianiu i ratowaniu starej lwowskiej architektury podobną opieką otoczy i ten zabytek ze wszech miar godny umiejętnej restauracji i konserwacji.

t. u.

## Teatr w Sowieciech

Rząd sowiecki oddawna już zdaje sobie doskonale sprawę, jak doniosła jest rola teatru, jako czynnika wychowawczego i propagandowego. Teatr w Sowieciech przestał być lekką rozrywką, stając się warsztatem, w którym urabia się mentalność i nowy światopogląd dzisiejszego widza.

Cyfra 331 teatrów egzystujących obecnie na terenie Sowieciech mówi sama za siebie. Obok teatrów stołecznych z takimi reżyserami jak Meyerhold, Stanisławskij czy Tairow, — teatry prowincjonalne, rozrzucone na olbrzymiej przestrzeni od Morza Białego i Sachalinu do Ukrainy i Krymu, — specjalne teatry dla młodzieży, — i wreszcie „brygady“ teatralne, zorganizowane na wzór włoskich trup objazdowych (Carro di Tespi), obsługujące najdalej położone kolchozy i nowo powstające centra przemysłowe.

Jaki jest poziom przedstawień teatralnych? Różni się on o całe niebo od tego, co było przed dziesięciu czy piętnastu laty. Przedewszystkiem czasy dyktantyzmu minęły, zdaje się, bezpowrotnie, — taksamo, jak zniknął dawny typ „bohemy“ aktorskiej, przesadnie zarozumiałej, markującej nonszalancją i tupetem pustkę wewnętrzną.

Dzisiejszy aktor (nierazko wychowany w atmosferze rewolucji i w ogniu krwawych walk) uważa zawód swój jako trudną i odpowiedzialną pracę nie tylko kulturalną, ale, i to przedewszystkiem nawet, społeczną. Na scenę idzie odpowiednio przygotowany i wyszkolony na specjalnych kursach, gdzie zapoznaje się z zasadami dialektyki, filozofii sztuki i z najnowszymi zdobyczami i prądami sztuki teatralnej. Zespół teatralny przestał być szarą masą: teatr sowiecki daje dziś artyście szerokie pole do wybiecia się, do podkreślenia własnej indy-

widualności.

Zwiększyły się też odpowiednio wymagania publiczności, która w teatrze szuka nie tylko artystycznego zadowolenia, ale i odpowiedzi na rozliczne zagadnienia społeczne, żąda kontaktu z życiem rzeczywistym. Hasło „sztuka dla sztuki“ straciło swój właściwy sens i walor.

Nie znaczy to bynajmniej, jakoby repertuar scen sowieckich zamykał się w ciasnym kręgu sztuk agitacyjnych i propagandowych, jakkolwiek ten właśnie rodzaj twórczości dramatycznej zajmuje zawsze jeszcze dominujące i uprzywilejowane stanowisko. Wielkiem powodzeniem cieszyły się tedy w ostatnim sezonie sztuki o wyraźnej tendencji politycznej, jak „Pociąg pancerny“, „Chleb“, „Trwoga“, jak wreszcie udramatyzowana powieść Katajewa „Naprzód czasie“, rodzaj apoteozy sowieckiego „wyścigu pracy“.

Wystawia się dramatyczne epizody z okresu rewolucji, jak „Mścisław Udaty“ (bunt czerwonych marynarzy na pancerniku), „Debacle“, lub „Marynarze z Cattaro“. Zdarzenia i epizody z niedawnej przeszłości naświetlone w nich są pod kątem widzenia dnia! dzisiejszego, opisane z wstrząsającym realizmem, a wyreżyserowane bardzo starannie i pomysłowo, wywołują silne wrażenie.

Celom propagandowym służą też sztuki obrazujące stosunki społeczne na Zachodzie, sztuki naogół słabsze, grzeszące zbyt niemiernym przejaśkrawieniem.

Równoległe z tem jednak obserwuje się nawrót do klasyków: wystawia się z ogromnym powodzeniem „Martwe dusze“ Gogola, sztuki Ostrowskiego, Uspenskiego, Saitykowa - Szczedrina, Suchowa - Kobylina, no i naturalnie Gorkiego, owego klasycznego przedstawiciela „socialistycznego realizmu“.

Szekspir oddawna już należy do najulubieńszych autorów; obok niego wystawił „Mały Teatr“ szylerskiego „Don Carlosa“, ostatnio zaś Meyerhold wystąpił z „Dumą Kameljiową“ w zupełnie nowej i bardzo oryginalnej inscenizacji.

Ciekawym eksperymentem będzie wystawienie w Teatrze Kameralnym „Antonjusza i Kleopatry“, zrecznej kompilacji fragmentów z „Cezara i Kleopatry“ B. Shawa oraz z „Egipskich Nocy“ Puszkina.

W stosunku do klasyków ostatnie lata przyniosły zasadniczą zmianę: Dziś nie „dopasowuje się“ już dramatów klasycznych do ideologii obecnej, nie wypacza się bezceremonialnie tekstu, nie fabrykuje zakończenia „ad usum Delphini“. I owszem, reżyserja traktuje te arcydzieła z całym należytym pietyzmem, podkreślając tylko zrecznie odpowiednią sceny i wydobywając przez odpowiednią inscenizację pożądane efekty. Jest to robota subtelna i misterna, tak misterna, że dla szerszej publiczności niemal niedostrzegalna.

Wspomnieć wreszcie należy o teatrach dla młodzieży, których w samej Moskwie istnieje ośm, — a które posiadają duże znaczenie pedagogiczne. Teatry te stanowią coś pośredniego między sceną zawodową a teatrykiem amatorskim, wciągając młodych widzów bezpośrednio w akcję sztuki, wywołując żywą dyskusję, wymianę zdań i krytykę, utrzymując w nieustannym kontakcie teatr z młodocianą publicznością.

Krótki ten szkic pozwala nam zorientować się co do znaczenia teatru w Sowieciech, jako instytucji kulturalno-politycznej, jako bardzo cennego i skutecznego narzędzia propagandy prowadzonej na terenie sztuki. (kr.)

1) Franciszek Jaworski: Baszta prochowa i archiwum miejskie, Lwów 1905.

2) późniejsze Wały Gubernatorskie,

# Z wizytą w zoologu poznańskim

Większość osób przybywających do Poznania, względnie zatrzymujących się w przejeździe w tym schludnym i na szczęście, dzisiaj jeszcze naogół wolnym od żydów mieście, (zjawisko w Polsce niezwykle rzadkie), nie odmawia sobie przyjemności odwiedzania chluby Poznania, pięknego ogrodu zoologicznego. Nic dziwnego, ogród jest ciekawie ciekawy, a przechadzka po nim pouczająca, i co również nie jest bez znaczenia, znajduje się zaledwie kilka minut drogi od dworca kolejowego.

Sam ogród zajmuje powierzchnię około 5 hektarów. Zaraz po przekroczeniu jego bramy, zwraca uwagę zwiedzającego wielka żelazna klatka, kształtu kopyły, pełna ptactwa. Wymiary jej są imponujące: długość metrów 22, szerokość m. 20, wysokość m. 14. Jest ona jedną z ozdób ogrodu. Olbrzymia ta klatka rozpięta jest nad wiejską chatką, pokrytą słomą, stojącą w cieniu drzew i otoczeniu krzewów. Obok chatki rozciąga się sztuczne bagienko, do którego wpływa woda dwoma krętymi strumyczkami, tryskającymi z małej skałki. Wśród takiej scenerji, mającej jak najbardziej przypominać warunki naturalne, żyją w harmonijnej zgodzie poczciwe nasze boćki białe i czarne, wielkodziobe pelikany, ślepowrony, siwe i białe czaple, srebrzyste mewy, smutne żurawie, czerwone ibisy, karmiące według wizerzeń Egipcjan, własną krwią pisklęta i wielu innych przedstawicieli ptasiego społeczeństwa z nad naszych bagien i jezior, z nad mokradel Amazonki i innych mniej lub więcej egzotycznych okolic globu.

Na prawo od „ptasiego raj“, a na wprost od wejścia do zwierzyńca, wylądają z za ogrodzeń ku zwiedzającym zwierzęta zaliczane przez przyrodników do jeleniowatych. Smukłe, zgrabne daniele i jelenie, indyjskie jelenie aksis, sarenki.

Opodal nich wznosi się pawilon małych drapieżców i gryzoni, reprezentowanych przez hijeny centkowane i prażkowane, niedźwiedzie malajskie, ostronose, szop, borsuki, rysie, lasice, kuny i t. d.

Niemal każdy zatrzymuje się dłużej przed basenem lwów morskich, by podziwiać wieczną ruchliwość i niezwykłą zwinność tych mieszkańców okolic podbiegunowych.

W zagrodach dla bydła rogatego, na czoło wybijają się żubry, które jak wiadomo, są największymi zwierzętami europejskimi. Wysokie 1 m. 80 cm., długie 3 i pół metra, ważą około 750 kg.; zamieszkiwały one niegdyś lasy całej środkowej Europy. Dziś są na wygnaniu, z ciekawością się je przeto ogląda. Z żubrem spokrewniony jest i podobny do niego, bizon amerykański.

Największym zwierzęciem lądowym, słoniom, zbudowano osobny pawilon w stylu indyjskim. Słoń jest stworzeniem roztropnym. Maleńkimi oczkami bacznie obserwuje zwiedzających. Gdy ujrzy dzieci, zbliża się do balustrady i wyciąga ku nim trąbę, uporczywie domagając się okupu. I zazwyczaj nie myli się. Dzieci chętnie karmią go różnego rodzaju smakołykami.

Sasiadami słonia są antylopy, kangury, osiołki i pasiaście kucyki-zebry.

W jednej z dalszych zagród zamknięte są wielbłądy, kozy owce, dzikie świni. Naprzeciw nich białe i brunatne niedźwiedzie. A dalej domek małp, wzbudźmięchu u dzieci, wrzawa, zgiełkiem i dzwającymi swym zachowaniem salwy tęczą barw wypełniona chatka papug. Pawilon lwów, tygrysów i innych wielkich drapieżników, dwa sztuczne stawy, dla ptactwa wodnego, piękne alpinarium, sztuczna skała dla przedstawicieli fauny wysokogórskiej i wiele innych urządzeń, pełnych niespotykanych u nas zwierząt, które trudno wymienić w krótkim artykule.

Ogólne wrażenie dodatnie. Zwierzęta, szkoda, że nie wszystkie, mają na-

gół dosyć swobody. Czują się niezłe, czego dowodem mnożenie się. To też ogród ma, między innymi, własnego chowu lamparty i urodzone w zwierzyńcu wilki. Ogółem ogród zoologiczny w Poznaniu posiada około 1 tysiąc okazów, należących do około 250 gatunków. Jest więc największym ogrodem zoologicznym w Polsce. Odwiedza go rocznie niespełna 300 tysięcy osób.

Ciekawa jest historia powstania tej instytucji. Zawiazek ogrodu przypada na rok 1870 i jest wynikiem oryginalnego pomysłu grona obywateli poznańskich. Kilku z nich chcąc uczcić jednego ze swych przyjaciół, postanowiło zakupić szereg możliwie różnych zwierząt i obdarować nimi solenizanta w dniu imienin. Istotnie projektodawcom udało się zgromadzić na oznaczony dzień kilkanaście okazów, częściowo dzikich, częściowo oswojonych, które następnie umieszczono w ogrodzie, zajmowanym dziś przez ogród zoologiczny. Opiekę nad tą osobliwą wówczas kolekcją powierzono mieszczącemu się tam wtedy związkowi wojaków. Niezwykły żart, prawdopodobnie nie przemyślany przez samych projektodawców, a może nie brany przez nich poważnie, miał niewątpliwie swoje głębsze źródło. W połowie bowiem ub. wieku przypada czas założenia w zachodniej Europie szeregu ogrodów zoologicznych. Pomysł kilku obywateli poznańskich okazał się w skutkach bardzo szczęśliwy, dał bowiem początek instytucji o wielkiej użyteczności publicznej, która w roku przyszłym obchodzić będzie 60-tą rocznicę swego istnienia. Nikły początkowo zawiazek ogrodu zoologicznego w Poznaniu, zasilany darami obywateli tego

miasta i okolicy, coraz bardziej wznosił. Ponieważ ofiarą pomocy jednostek już po upływie lat kilku nie mogła wystarczyć potrzebom jakie wykazywał zwierzyńiec, podjęto więc starania w kierunku utworzenia osobnego towarzystwa pod nazwą „Ogród Zoologiczny”. Towarzystwo to powstało w roku 1875. Data ta jest więc datą powstania poznańskiego ogrodu zoologicznego w całym tego słowa znaczeniu.

W roku 1881 został członkiem towarzystwa, a niebawem stanął na jego czele, kupiec poznański i radca miejski Robert Jaekel. Piastując tę godność nieprzerwanie aż do śmierci (1907 r.) stał się przez rozbudowanie i powiększenie ogrodu jego reorganizatorem i właściwym twórcą. Dzielnie pomagali mu w tem dziele sekretarz towarzystwa nauczyciel Stanisław Zieliński i radca dr. Lewiński. Przedewszystkiem po licznych staraniach udało się im nabyć teren na którym znajduje się ogród na własność. Obszar ten odpowiednio urządzono. Część zamieniono na park, resztę oddano pod właściwy zwierzyńiec. W tej to części pobudowano w miejscach dawnych prymitywnych klatek dla zwierząt odpowiednie nowe pomieszczenia, z całym szeregiem stosownych urządzeń. Pokopano stawy dla ptactwa wodnego i błotnego, wzniesiono rodzaj alpinarium dla zwierząt wysokogórskich, wymurowano specjalną małąpiarnię i grocie a obok niej w sztucznej dolinie górskiej urządzono obszerną klatkę dla ptactwa drapieżnego. Zwolna wznoszący się ogród zoologiczny stał się z czasem poważnym czynnikiem społecznym i naukowym. Do największego rozkwitu doszedł on tuż

przed wojną światową. W tym czasie „Towarzystwo ogród zoologiczny“ liczyło 2100 członków posiadało w zwierzyńcu 696 okazów w 342 gatunkach, zaś zwiedzających ogród było w tym roku przeszło 160 tysięcy osób.

Szybki wzrost instytucji zmusił „Towarzystwo ogród zoologiczny“ do zmiany dotychczasowych podstaw istnienia. Wszczęto wówczas pertraktacje z zarządzeniem miasta i w dniu 1 stycznia 1912 roku ogród zoologiczny stał się wraz z całym inwentarzem żywym i martwym własnością gminy miasta Poznania.

Wojna światowa odbiła się fatalnie na ogrodzie. Frekwencja zwiedzających zmalała, głód, choroby i brak opieki nad zwierzętami okropnie poczyniły spustoszenia. Klatki stały pustką, a brak funduszy uniemożliwił uzupełnienie strat. Doszło wreszcie do tego, że z początkiem roku 1919 było zaledwie 243 zwierząt w 75 gatunkach. W tak opłakanym stanie objęło w posiadanie ogród zoologiczny po ustąpieniu Niemców społeczeństwo polskie. Nowy zarząd złożony już wyłącznie z Polaków zabrał się ochoczo do pracy. Usiłowania zarządu poparło w całej pełni miasto. Ogród szybko powracał do dawnego stanu. Z biegiem czasu wyposażono go w szereg nowych urządzeń których dawniej nie miał. Dzisiaj poznański ogród zoologiczny stoi na pierwszym miejscu w Polsce. Wprawdzie jego pierwszeństwo zagraża coraz bardziej zoolog warszawski. Konkurencja to nie zupełnie groźna. Możliwe bowiem że zoolog warszawski będzie niedługo posiadaczem większej liczby okazów niż zoolog poznański braknie mu jednak pięknej tradycji, której posiadaczką jest instytucja poznańska. AK.

## Co to jest „B. B. C.” Najlepsza stacja radiowa w Europie

Radio — to temat nigdy niewyczerpany do dyskusji. „Quot capita, — tot census“, możnaby śmiało powiedzieć. Zapytajmy o zdanie którą gwiazdę z Hollywood, — a napewno określi ona radio jako jeden z najsilniejszych argumentów w procesie rozwodowym z powodu „nieczłowieckiego zniecania się i katuszy moralnych“...

„Naród wybrany“ nie może znieść radia niemieckiego. Jeden zachwycać się będzie głosem speakerki, inny dostanie choroby nerwowej, słuchając przeraźliwych świstów i szmerów w swym głośniku.

Jeżeli jednak zapytamy prawdziwego radjo - amatora, takiego „radjo - man jak“, co to potrafi przez pół dnia sterczeć przy swym aparacie i „łapać“ stacje zagraniczne, jaka stacja jest najlepsza w Europie, — każdy odpowie bez wahania: radio angielskie.

I będzie miał zupełną rację.

Czem wytłumaczyć tę pochlebną opinię, jaką zdobyło sobie radio angielskie? Wpłynęły na to dwie rzeczy: staranny dobór programów, stojących na możliwie najwyższym poziomie, — i zupełnie wyeliminowanie z radia wszelkiej reklamy.

W początkach swych około roku 1922 radio angielskie było przedsiębiorstwem prywatnym, a założyciele nie szczędzili ofiar, w przekonaniu, że w krótkim czasie radio stanie się instytucją wręcz niezbędną w życiu codziennym. W roku 1927 dekretem królewskim stworzoną została „British Broadcasting Corporation“, (zwana krótko B. B. C.) instytucja publiczna, pozostająca pod kontrolą rządu. Kontrola ta ograniczała

się zresztą do czuwania nad tem, by radio w programach swych szło po linii wytycznej, zgodnej z zasadami i postulatami wychowania narodowego. Poza tem — zupełna autonomia zarówno administracyjna jak i artystyczna.

Strona finansowa rozstrzygnięta została w sposób możliwie najrozsądniejszy, w porozumieniu z angielskim ministerstwem poczt: z ustanowionej przez rząd opłaty za abonament radio wy, w kwocie 10 szylingów rocznie, przypada 4 szylingi i 7 pensów na rzecz B. B. C.

A skoro uprzytomnimy sobie że liczba radio - abonentów z 600 tysięcy w styczniu 1924 doszła do 6 milionów w styczniu 1934, — zobaczymy, jakie olbrzymie suny ma B. B. C. corocznie do dyspozycji na przygotowanie programów i udoskonalenia techniczne.

Gmach londyńskiej B. B. C. sprawia wrażenie imponujące. Mieści on niemię, jak 35 „studj“, w tem 5 na słuchowiska, 4 na odczyty, 4 na „efekty sceniczne“, ogromną salę na koncerty, a nawet własną kaplicę „z której transmituje się nabożeństwa. Personel przekracza tysiąc osób, a obejmuje, wszystkie możliwe dziedziny, od techników i inżynierów począwszy, do artystów, literatów i polityków włącznie.

Jak wyglądają programy radiowe, nadawane co dnia od 10 rano do północy bez przerwy? Zasadniczo istnieją dwa programy nadawane na przemian: „National“ i „Regional“.

W roku 1933 ogólna ilość audycji obejmowała 8578 godzin. Na tej przestrzeni czasu nadane zostało: audycji muzycznych 6037 godzin, odczytów i

wykładów 1417 godzin, audycje religijne 366 godzin, audycje dla młodzieży 463 godziny, słuchowiska 146 godzin, transmisje okolicznościowe 34 godziny, — i wreszcie telewizja (eksperymentalnie) 111 godzin.

Co się tyczy audycji muzycznych zaznaczyć należy, że muzyka z płyt gramofonowych stanowi zaledwie 10 procent tych audycji, reszta wypełniły produkcje własnej orkiestry, liczącej 118 muzyków, oraz produkcje chórów i orkiestr prowincjonalnych.

Prelekcje wygłaszają najlepsi znawcy danego przedmiotu, doskonale honorowani. Mają do mikrofonu dostęp wszystkie stronnictwa polityczne, zgodnie z wiekową tradycją Anglii, gdzie każdy może przemawiać z zaimprovizowanej trybuny i otwarcie wypowiedzieć swe zdanie. Ten moment uwzględnia też i B.B.C. w bardzo szerokich ramach, — i to jest również jednym z powodów jego popularności.

Na jeden jeszcze szczegół warto zwrócić uwagę: wychodząc ze słusznego założenia, że zadaniem radia jest kształcenie gustu słuchaczy, angielska B.B.C. zarówno w audycjach muzycznych, jak w słuchowiskach nie schodzi nigdy poniżej pewnego, dość wysokiego poziomu intelektualnego. I choć prasa brukowa niejednokrotnie przypuszcza z tego powodu gwałtowne ataki na kierownictwo B.B.C., — radio angielskie nie odstępowało ani na krok od raz wytyczonej linii. A że metoda ta jest dobrą, — dowodzi stały i ogromny wzrost radiosłuchaczy, wyrażający się w ostatnich trzech latach przybytkiem miliona abonentów corocznie.

(Lucy)

# Żydzi o swoich celach i zadaniach

Ukazała się w druku bardzo ciekawa książka. Jest to Zbigniewa Krasnowskiego „Światowa Polityka Żydowska” wydana nakładem spółdzielni Patria w Warszawie w roku 1934.

Autor zadał sobie benedyktyński trud ułożenia w jedną logiczną całość „około trzystu wyciągów z dzieł, odczytów, przemówień, rozpraw i wynurzeń najwybitniejszych działaczy żydowskich doby obecnej, oraz z doniesień żydowskiej prasy politycznej. A wszystko z dokładnym wskazaniem źródeł i dat”.

Z tych to wycinków z pisanego słowa żydowskiego poznajemy właściwe cele Żydów, ich prawdziwe ustosunkowanie się do wszystkiego co nie żydowskie. Poznajemy także drogi i metody, które zamierzają Żydzi stosować i które dotychczas stosują w walce z narodami, mającymi służyć żydowskiemu interesom.

Książka ta ma przytem jedną dużą, zaletę: ze strony żydowskiej nie może ona spotkać się z zaprzeczeniem. Autor bowiem swoją rolę ograniczył świadomie do rozumowego uporządkowania dokumentarnych żydowskich oświadczeń i wynurzeń, które choćby dlatego są dla Żydów niezbita, iż przez samych Żydów zostały wygłoszone.

Przytoczymy tu kilka fragmentów z tej niepospolitej książki, którą tylko przez cytowanie najlepiej zrecenzować można.

## PRZYWILEJE ŻYDOWSKIE

„Aby zrozumieć, co Żydzi mają na myśli pod nazwą tzw. równouprawnienia gospodarczego, trzeba wnikać w istotę tego stanu prawnego, z którego żydostwo w dobie obecnej korzysta w obcych krajach. Jako naród rozprószony, a więc niesamowystarczalny, nie może żydostwo dać narodom rdzennym — gdyby nawet chciało równoważnika tych wszystkich praw, z których w tych krajach korzysta; brak mu ku temu odpowiednich warunków, a przedewszystkiem warunków terytorjalności. — Czyż może dać innym narodom równoważnik praw do ziemi, na której mieszka i którą w tej lub innej formie eksploatuje? (Gdzie narody rdzenne mogą uzyskać równoważnik tych korzyści, które żydostwo czerpie w ich krajach z handlu, rzemiosła, przemysłu itd.?)

Te „prawa żydowskie” — są to jednostronne obowiązki narodów rdzennych wobec żydostwa.

„Prawa” żydowskie, jako prawa jednostronne, stanowią więc przywilej żydostwa, narzucony narodom rdzennym w ich krajach ojczystych przy pomocy tzw. czynników pomocniczych działających w łonie narodów rdzennych i kierowanych przez Żydów.

Dr. Jehoszue Thon (z Krakowa), wskazując, że tylko pracownicy Żydzi mogą być i powinni być dopuszczeni do Erec Izrael (Palestyna), m. in. pisał („Hajnt” z 20. I. 1933):

„Przypominam sobie „dowcip”, słyszany przezemnie, który tu pozwalam sobie przytoczyć, mianowicie, jak to dwaj Żydzi — nauczyciele jadą sobie w wygodnym powozie i widzą na drodze gołębki, tłukące kamienie. Jeden z nich mówi do drugiego: patrz, tak długo, jak jesteśmy w diasporze (poza Palestynę — przyp. Red.), jeździmy powozem, a oni tłuką kamienie, natomiast, gdy my znajdziemy się w Erec Izrael, będziemy tłukli kamienie, a oni będą u siebie jeździli powozami... Otóż ten „wesoly” dowcip można słyszeć bardzo często wśród Żydów tzw. bruchaczy, gdy oni trawiają dobry obiad, palą dobre cygara hawajskie z pozostającym popiołem koloru wody morskiej, ujęte w złotą opaskę”.

Dowcip ten pochodzący od samych

Żydów określa w formie żartobliwej ten stan prawny, w którym Żydzi żyją obecnie w krajach rozproszenia.

Gdyby było inaczej, czy Żydzi nie staraliby się już dawno urzeczywistnić swój rzekomy ideał osiedlenia się w swoim kraju historycznym?

Tymczasem z jego urzeczywistnieniem nie spieszą się nawet oficjalni sjonisci.

Wskazując na tułactwo, jako na jedną z głównych cech żydowskich, dr. Jehoszue Thon w listopadzie 1931 r. m. in. pisał:

„my wciąż tułamy się nawet pod względem duchowym. Nasz „cel ostateczny” jest prawie tak daleki, jak sjonistyczny cel ostateczny. Myślny nie ustalili żadnego terminu. Pragniemy „ść aż „do świata przyszłości”, „do czasów Mesjasza”, a te daty nie są wszak określone w żadnym kalendarzu”.

## ŻYDZI JAKO PACYFIŚCI

W listopadzie 1916 r., Henry Ford, znany przemysłowiec i miliardier amerykański pochodzenia aryjskiego, sfiansował, jak wiadomo, wyprawę pokojową ze Stanów Zjednoczonych A. P. do Skandynawji, jako na teren państw neutralnych, w celu wzmożenia za ich pośrednictwem akcji zakończenia wojny światowej.

Wyprawę tę Henry Ford wszczął pod wpływem pani Roziki Schwimer, żydówki, komunistki.

„Inicjatorką tej wyprawy pokojowej — jak mówił w swoim wywiadzie w Warszawie w kwietniu 1927 r., Herman Bernstein, redaktor „Jewish Tribune” (N. J.) — była żydówka z Węgier, która później, podczas rządu bolszewickiego Beli Kuhna, była węgierskim ambasadorem w Wiedniu. Ona przybyła do Ameryki agitować o prawo dla kobiet i o pacyfizm.” (Hajnt z 13. 4. 1927).

Na terenie Stanów Zjednoczonych A. P. „pacyfizm”, na terenie Węgier — komunizm.

A w jaką treść przyoblekli się rządy na Węgrzech w 1919 roku, kiedy to rozpoczął się okres komunizmu i kiedy to na czele stał Bela Kuhn — żyd, reprezentujący zapewne te same idee, co i jego ambasadorzy, a w ich liczbie... pacyfistka Rozika Schwimer? Wszak był to okres władzy komunistów — „pacyfistów”... Pamiętajmy wszyscy, że były to w całym tych słów znaczeniu rządy krwawe.

## ŻYDZI CIAGNĄ KORZYŚCI Z REWOLUCYJ

Przewroty i zamieszki wśród narodów rdzennych sprzyjają bogaceniu się finansjery żydowskiej.

„Legendarny wzrost Rotschildów — pisał w 1928 roku w „Hajnt” z 3. 2. A. S. Lirik — stale zajmował fantazję nie tylko prostego ludu, lecz również ludzi ducha i jest rzeczą charakterystyczną, że również wielki poeta Goethe sam urodzony we Frankfurcie, często sam zastanawiał się nad Rotschildami i uważał ich za zjawiska fenomenalne...”

Potem, jak Rotschildowie nagromadzili swoje pieniądze przez wojny i przewroty, cała ich energia w 30 tych i 40-tych latach XIX-go stulecia była głównie skierowana na to, aby przez swój wpływ i władzę usunąć wszelką możliwość nowej wojny, która musiałaby narazić na niebezpieczeństwo cały ich majątek. W tym kierunku Rotschildowie również okazali się mędrcami...

Tymczasem w Paryżu wybuchła rewolucja lipcowa — powstanie przeciw Bourbonom, 26 lipca 1830 r. — i braci Salomona i Jamesa Rotschildów, którzy podówczas zamieszkiwali w Paryżu, ogarnął duży lęk gdyż byli poprzednio ściśle związani z królem i z rządem i drżeli o swoje życie i majątek. Je-

dnocześnie jednak trzeci brat, Natan, przez rewolucję dobrze zarobił, gdyż dzięki swojej świetnie zorganizowanej służbie informacyjnej z wieloma własnymi okrętami i własnymi kurjerami wiedział o wybuchu rewolucji nawet o 12 godzin wcześniej, niż rząd angielski, i oczywiście dobrze to wyzyskał na giełdzie. Rewolucja lipcowa okazała się czysto mieszczańską, obcego majątku nie tknięto i lęk Rotschildów był bezpodstawny”.

Okazuje się zatem z wywodów A. S. Lirik, że bogactwo rodziny Rotschildów do okresu rewolucji lipcowej 1830 roku powstało „przez wojny i przez wroty”.

A w wyniku rewolucji lipcowej?

Natan Rothshild w Londynie przez tę rewolucję „dobrze zarobił” i to bez żadnego lęku...

James i Salomon Rotschildowie w Paryżu również nie stracili, jakkolwiek mieli być, jakoby, przejęci lękiem.

Zdaje się jednak, że z punktu widzenia narodów rdzennych jest obojętne, czy jakiś bankier zbija fundusze na rewolucji bez lęku, czy jego rodzina nie traci na tejże rewolucji, a więc również zarabia, chociaż ma lęk.

Ciekawe jednak jest właśnie, że Natan Rotschild w Londynie wiedział o tym wybuchu „gniewu ludu” na 12 godzin, zanim o tem dowiedział się rząd angielski, który wszak również, jak każdy rząd, musiał mieć w interesie swego państwa należyty wywiad. Okazuje się jednak, że rodzina Rotschildów pobila rekord.

Panowie Jakób Schiff, Rotschildowie i t. p. wiedzą zawsze wcześniej o wybuchach rewolucyjnych od rządów poszczególnych państw.

## ŻYDZI JAKO „BOHATEROWIE” AMERYKAŃSCY

Finansjera żydowska popierała także akcje oderwania kolonii amerykańskich od mcierzy angielskiej, t. zw. „rewolucję” amerykańską.

„Według ostatnich wiadomości — pisał „Hajnt” w dniu 9. VIII. 1927 r. — komisja municypalna w Nowym Yorku odmówiła zatwierdzenia pomnika, który miał stanąć w „Madison Square park” ku czci patrioty żydowskiego, Chaima Salomona, który pomógł finansować rewolucję amerykańską.

Salomon poparł rewolucję amerykańską setkami tysięcy dolarów i nigdy nie otrzymał z powrotem ani jednego centa”.

## ŻYDZI MIĘDZY SOBA

Emil Vandervelde, żyd — jeden z oficjalnych przewodców rdzennych warstw robotniczych na terenie Belgji, — po powrocie z Erec Izrael, miał szereg referatów agitacyjnych na rzecz odbudowy Erec Izrael. 28 maja 1926 r. wygłosił jeden z takich referatów w Paryżu. Po opisie bankietu, urządzonego na jego cześć z tego powodu przez miejscowy oddział „Poale Syjon”, warszawski „Hajnt” (3. VI. 1928 r.), za żargonówką w Paryżu — „Parizer Hajnt”, podał w końcu taką informację:

„23 maja (1928 r.) Emil Vandervelde został zaproszony do stołu barona Edmunda Rotschilda”.

Towarzysz, jeden z wodzów II-giej międzynarodówki przy stole barona Rotschilda, przedstawiciela najpotężniejszego odtamu finansjery żydowskiej.

## MIŁOŚĆ A REWOLUCJA U ŻYDÓW

Dążenia do przewrotu u narodów rdzennych jest tak głębokie w świadomości żydowskiej, że nawet w ekstazie miłosnej świadomość ta nie opuszcza Żydów.

W dniu 3 października 1927 r. w Są-

dzie Okręgowym w Łodzi odbył się proces komunistyczny.

Na procesie, wśród innych dowodów winy, znalazły się listy miłosne, w których oskarżony, Iochok Blumenkranz, pisząc do swej narzeczonej, Estery Sonnenberg, również oskarżonej, w ten sposób wyrażał jej swoje uczucia:

„Kocham cię, jak władzę sowiecką, pałam do ciebie miłością, jak do rewolucji społecznej” („Hajnt” z 4. 10. 1927).

Każdego prawowiernego Żyda ożywiają podobne uczucia. W każdej zaśluzonej, żydowskiej rodzinie znajdują się wyraziciele takich poglądów i takich uczuć wobec rewolucji.

## ŻYDZI SJONISCI, A ŻYDZI REWOLUCJONISCI

Apfelbaum „Zinowjew”, wywarł decydujący wpływ na rozwój akcji komunistycznej na terenie Rosji, dzięki swym pracom teoretycznym nad uzasadnieniem idei komunizmu i metodami jego propagandy.

A co robiła siostra „Komisarza” „Zinowjewa”?

„Zasługuje również na wzmiankę — pisał w marcu 1929 korespondent „Hajnta” z Palestyny — że kiedy rząd sowiecki kilka lat temu aresztował swego drugiego słynnego „żydowskiego” wodza Zinowjewa, wówczas była również wieść, że Zinowjew przybywa do Erec Izrael, aby się tutaj osiedlić. Zinowjew ma tutaj siostrę i szwagra, dobrych kolonistów w Erec - Izrael”.

Brat — „rewolucjonista”, a siostra — „dobra kolonistka”, a więc dobra „sjonistka”.

„Dzisiaj w tutejszym sądzie — pisał „Hajnt” informację telefoniczną z Łodzi z dnia 24 września 1929 r. — rozpoczął się proces przeciw synowi posła Iochoka Grinbauma, który jest oskarżony o komunizm. Jako obrońca występuje poseł adwokat Hartglas”.

„W procesie syna posła Grinbauma — podał tenże organ informację dnia następnego — dzisiaj o godzinie 11-ej m. 45 ogłoszono wyrok, mocą którego został on zasądzony na półtora roku więzienia”.

Sąd Apelacyjny w Warszawie na posiedzeniu w dniu 29 marca 1930 r. karę za to przestępstwo Benjaminowi Grinbaumowi podwyższył do lat czterech.

Ojciec — wybitny wódz sjonistów w zakresie światowym, b. prezes „Koła żydowskiego” w sejmie polskim, syn — komunista...

## PIEŚŃ ZEMSTY

Przytoczę jeszcze pieśń zemsty starego rabina, Akiby, która od tysięcy lat — jak stwierdza historyk żydowski dr. Majer Bałaban — rok rocznie na Wielkanoc w „święto wiosny” każdy ojciec rodziny żydowskiej śpiewa w jej otoczeniu przy drzwiach otwartych, ale tak, aby go nikt z pośród nieżydów nie słyszał... („Nasz Przegląd” z dnia 18. 4. 1924 r.).

„Wylej, Panie, swój gniew na narody, które Cię nie poznały i na królestwa, które imienia Twego nie wzywają, bo pożarli Jakóba i świętości jego zbezczeszczyli wylej na nich swój gniew i zniszcz je do szczytu pod Twoimi niebiosami”.

Zbigniew Krasnowski poważnie się zasłużył społeczeństwu polskiemu przez opracowanie, a Tow. Patria przez wydanie „Światowej Polityki Żydowskiej”. Powinna ona się znaleźć w bibliotece każdego inteligentnego Polaka, interesującego się kwestjami społecznymi.

M. E. R.

**Daj grosz  
na L. O. P. P.**

# Edgar Degas - malarz brzydoty

## (W stulecie urodzin - 19 lipca 1834)

W Galerii luksemburskiej w Paryżu, wśród licznych innych arcydzieł, wisi słynny obraz pastelowy Edgara Degasa „Tancerka”. Obraz, powszechnie znany, a uchodzący za jedno z najlepszych dzieł wielkiego malarza, mistrza barw i ruchu.

Ale nie najbardziej charakterystyczny dla jego twórczości. Gdy bowiem w obrazie tym daje nam Degas przepiękną wizję tańca, gdy ciało tancerki faluje miękko i harmonijnie w rytm muzyki, gdy — jednym słowem — mamy przed oczyma apoteozę wdzięku, piękna i harmonii, to w olbrzymiej większości swych prac Degas jest raczej „malarzem brzydoty ludzkiej”, jak go nazywali współcześnie.

Twórczość E. Degasa podzielić można na kilka odrębnych cykli. Przejęty początkowo duchem klasycyzmu, zapalony wielbiciel Ingres'a, zaczyna swą karierę artystyczną od studiowania i kopjowania na, Lawrence'a, wykształcenie swe uzupełnia podróży do Włoch i do Ameryki. Po powrocie rzuca się do pracy twórczej; wystawia pierwsze swe dzieła w salonie impresjonistów. Dzieła te przechodzą bez silniejszego wrażenia, publiczność przyjmuje je z lekceważącą obojętnością lub z drwinami.

Zrażony tem, Degas zamyka się w sobie, staje się prawie odludkiem. Ale nie zniechęca się do dalszej pracy, i owszem, pracuje tem intensywniej. Otrząsa się szybko z wszelkich wpływów i manier i poczyną iść własną drogą.

Już w pierwszym cyklu swych prac daje się poznać jako duży i oryginalny talent. Jego liczne szkice i obrazy z pola wyścigowego, czy to będą konie, czy dżokeje, odznaczają się życiem i brawurą. Niema w nich nic z tych stereotypowych angielskich sztychów, niema zdawkowego romantyzmu; jest natomiast świetny rysunek i mistrzowskie operowanie kolorami. Jest wreszcie uchwylenie życia i ruchu.

Do właśnie ta pasja chwywania na gorąco każdego ruchu i giestu stanowi charakterystyczną cechę talentu Degasa. Nie wystarcza mu już pole wyścigowe. Jak każdy prawdziwy, wielki artysta kieruje swe zainteresowanie do studjów ciała ludzkiego. I powstają jego najlepsze najbardziej charakterystyczne cykle obrazów, do których tematów szuka za kulisami teatrów czy cyrków, to znów wśród praczek i prasowacek, lub wreszcie w toaletach kobiecych.

Zarzuca niemal zupełnie ołówki i farby olejne, przechodząc do pastelów, z pomocą których wydobywa nowe, zupełnie, niedoścignione w swym artyźmie, efekty barwne.

W cyklach tych, czy to będą „Tancerki”, czy „Praczkę”, czy „Kobiety przy toalecie” staje się Degas malarzem nawskróś realistycznym, aż brutalnym w swej szczerości. Jego tancerki, to nie wyidealizowane wiotkie sylfidy, wykonujące z czarującym uśmiechem swe ewolucje, lecz dziewczyny biedne, wyczerpane swą ciężką pracą, nie „kapłanki”, lecz niewolnice swej sztuki. Smutek więcej z tych obrazów, smutek bezna- dziejny i bolesny, gorzka ironia. A wręcz jest tem silniejsze, że Degas lubuje się w sztucznie oświetlonej rampy, deformacji „normalnej sylwetki”.

Toż samo obserwujemy w jego licznych studjach ciała kobiecego. Degas pokazuje nam kobiety przy swej poran-

nej toalecie, koncentrując całą uwagę na samym modelu, odrzucając wszelkie niemal akcesoria, tak chętnie i wydatnie stosowane przez innych malarzy.

Studja te obrażały zasadnicze kano- ny antycznej estetyki, nakazującej od- twarzać jedynie piękno ciała kobiecego

i jego harmonję. Z drobiazgowym, o- krutnym niemal realizmem kopjuje De- gas wszelkie deformacje ciała kobiece- go, powstałe czy to skutkiem natural- nych okoliczności, czy skutkiem narzu- conych przez społeczeństwo warunków i trybu życia. Jego studja kobiece mają

w sobie coś chorobliwego, przypomina- ją poematy Baudelaire'a. Ale są równo- cześnie najlepszym i najwierniejszym wi- zerunkiem współczesnej kobiety.

Są też najwspanialszym świadectwem jego wyjątkowego, wielkiego talentu, który zjednał mu uznanie już u współ- czesnych, a nazwisko jego zapisane zo- stało złotymi głoskami w historii fran- cuskiego malarstwa.

(R.)

## „Anemja górników” i jej sprawca

W roku 1802 lekarz francuski Hallé zwrócił uwagę na częste wypadki spec- jalnej anemji, występującej szczególnie u górników, zajętych w kopalniach wę- gla.

Podobne wypadki zaobserwowano i w innych miejscach, wypadki w prze- biegu swym tak charakterystyczne, że wkrótce wprowadzono specjalne okreś- lenie tej zagadkowej choroby jako „anemji górników”. Jakże było jej pod- łożę, jakie czynniki wywołujące tę cho- robę, — tego nikt stwierdzić nie zdołał.

Pewne światło rzuciło na to dopiero dokonane w roku 1836 przez lekarza włoskiego Dubini'ego odkrycie we wnętrzościach kobiety, zmarłej na za- palenie płuc w szpitalu medjołańskim, nieznanego dotychczas pasożyta, nazwa- nego przez Dubini'ego „Ankylostoma duodenale”. Świat lekarski zaintereso- wał się tem odkryciem — i oto wkrót- ce stwierdzono istnienie tego pasożyta w rozmaitych krajach posiadających kli- mat ciepły lub gorący: w Egipcie, Bra- zylji, Ameryce południowej i środkowej. Znajdowano go przy sekcjach zwłok lu- dzi, zmarłych na złośliwą anemję.

Szczegółowe dane o trybie życia te- go drobnego robaka i jego związku z po- wstawaniem anemji opublikował dr. Perroncito w roku 1880. Materiał klini- czny czerpał z licznych wypadków zło- śliwej anemji, szerzącej prawdziwe spu- stoszenie wśród górników pracujących przy budowie tunelu św. Gotharda.

Od tego czasu mnożą się obserwacje

kliniczne: „ankylostoma duodenale” zo- stał zidentyfikowany jako sprawca owej „anemji górników”, którą najwybitniejsi higieniści określili jako nową, wcale po- ważną „chorobę społeczną”.

Jakież są objawy tej choroby? Za- czyną się ona bólami żołądkowymi, za- wrotami głowy, ogólnym osłabieniem i utrudnieniami przy oddechaniu. W miarę postępu choroby pacjent staje się zu- pełnie apatyczny, niezdolny do pracy; skóra i błony śluzowe bledną coraz wię- cej, — jednym słowem typowy obraz kliniczny anemji. A co najważniejsze: krew pacjenta, badana pod mikrosko- pem, wykazuje znaczne zmniejszenie się ilości czerwonych ciałek krwi, dochodzące do dwóch milionów ciałek w mili- metrze kubicznym, zamiast normalnych pięciu milionów.

Choroba ta ma w krajach europej- skich przebieg stosunkowo łagodny; na- tomiasz w krajach tropikalnych nierzad- ko kończy się śmiertelnym wynikiem skutkiem osłabienia serca.

A sprawcą jej jest „Ankylostoma duodenale”, robaczek długości zaledwie 1 centymetra. Z chwilą, gdy dostanie się on do przewodu pokarmowego człowie- ka, usadawia się na błonie śluzowej, którą nadgryza, czerpiąc z niej pożywie- nie. Robaczek ten posiada specjalny gru- czół, którego wydzielina dostaje się do krwi ludzkiej, a dzięki swemu specjale- mu składowi uniemożliwia krzepnięcie krwi. Stąd powstaje anemja, wywołana nieprzerwanym wpływem krwi i zmianami w niej zachodzącymi.

„Ankylostoma duodenale” składa ty- siące jajek, które jednak dla dalszego rozwoju potrzebują specjalnych warun- ków: temperatury wilgotnej i cieplej, w granicach 25—28 st. Kiedy na takie wa- runki natrafia, z jajek legną się larwy. Larwy te, osłonięte twardą błoną (cystą) żyją długo życiem utajonem, dopóki nie dostaną się do organizmu człowieka, czyto przez przewód pokarmowy, czy nawet przez skórę. W tym ostatnim wy- padku — jak to stwierdziły niezbitnie ba- dania profesora Loossa w Kairo, pasożyt odbywa długą wędrówkę okólną: drogą naczyń krwionośnych dostaje się do ser- ca, skąd wraz z obiegiem krwi wędruje do tchawicy i gardła, by wreszcie przez przewód pokarmowy dostać się do jelit, do owej dwunastnicy, gdzie rozpoczyna swą destruktywną działalność.

Istnienie „Ankylostoma duodenale” stwierdzono wszędzie. Na szczęście, nie wszędzie napotyka on na korzystne wa- runki do rozwoju; i tem się też tłumaczy niewielka stosunkowo ilość wypadków „anemji górników” w krajach umiarko- wanych, o suchym lub ostrym klimacie. Natomiast rozwija się on szybko i ma- sowo w miejscach ciepłych i stale wil- gotnych, jak tunele, kopalnie węgla, siarki itp.

Dlatego warto zwrócić uwagę na ową, mało u nas znaną i obserwowaną chorobę, tzw. „anemję górników”, której wypadki zdarzać się mogą w kopalniach węgla, a której sprawcą jest niepozorny robaczek, wielkości zaledwie jednego centymetra.

(kr.)

## Żelbeton

Wynalazek żelbetonu skierował całe budownictwo współczesne na nowe to- ry, otwierając mu szereg nieznanych dotychczas i nieprzeczuwanych możli- wości. Dziś stał się żelbeton materia- lem wręcz niezbędnym, nie dającym się niczem zastąpić.

A stało się to w krótkim stosunkowo okresie czasu, ostatnich pięćdziesięciu lat. Jak to bywa zazwyczaj z każdym wynalazkiem, tak i w danym wypadku wynalazek ten nie przyszedł niespo- dzianie, z dnia na dzień, — lecz był owocem podejmowanych wielokrotnie już poprzednio prób i studjów.

Już w roku 1854 zgłaszają pierwsze patenty architekt angielski T. Tyermain i inżynier francuski Lambot. Ten o- statni konstruuje rodzaj gęstej żelaznej kraty, wzmocnionej zaprawą cemento- wą.

W tym samym kierunku idą nastę- pnie próby podejmowane przez innych konstruktorów, próby oparte raczej na intuicji i praktycznych doświadczeniach, niż na ściśle fachowej kalkulacji z u- względnieniem zasad mechaniki, trójki i t. p.

Te ostatnie zagadnienia stały się

kie podjął austriacki inżynier Weiss, który w roku 1887 opublikował wyniki swych badań, podkreślając wielkie za- lety cementu w połączeniu z żelazem, jako materiału budowlanego.

Właściwym jednak wynalazcą żel- betonu był Francuz, Franciszek Henne- bique, który w konstrukcjach swych za- czął zamiast czystego cementu stoso- wać beton. Pierwszą próbę tego ro- dzaju podjął Hennebique w Lombard- zycie, w Belgji, gdzie budował eleganc- ką willę dla wydawcy i redaktora dziennika „Etoile belge”. Szło tam między innymi o zbudowanie podłóg i sufitów z materiału niepalnego. Hen- nebique użył do tego celu belek odle- wanych z betonu, a wzmocnionych we- wnętrż żelaznymi prętami. Próba wy- padła nadspodziewanie pomyślnie. Hen- nebique opatentował swój wynalazek w roku 1892 i założył w Paryżu wielkie, do dziś dnia istniejące przedsiębiorstwo we własnym gmachu zbudowanym z żelbetonu. Był to pierwszy tego rodza- ju budynek wystawiony w Paryżu.

„System Hennebique” znalazł wkrót- ce szersze zastosowanie: już na świa- towej wystawie paryskiej w roku 1900

notem przyszły coraz śmielsze kon- strukcje, torując drogę kilkudziesięci- piętrowym drapaczom chmur, których powstanie byłoby niemożliwą do zreali- zowania mrzonką, gdyby nie było żel- betonu.

(k. r.)

## Aforyzmy o modzie

Dziwnie jest z tą elegancją. Od kiedy niemożny jest zbytek w strojach, można go tanio mieć. Drogie są natomiast skromne ubiory. Prawidła dzisiejszej ele- gancji to: wydawać się niecom niepo- rządna — będą przytem w wyrafinowany sposób wypielęgnowaną; najlepsze matery- jały, po wyjściu z rąk najlepszych kraw- ców, nosić z niedbalością; wyglądać tak, jak gdyby się nie miało najlepszego wy- obrażenia o tem, co się nosi na sobie. Ele- gancja powinna być jednocześnie przypad- kowa i wrodzona. Dlatego zbyt dobrze łą- żące rzeczy nigdy nie są w dobrym tonie. Bzuca się odrazu w oczy ich pracowite wykonanie. Wszystko musi tak wyglądać, jakby było dziełem przypadku, — mimo, że to się przecież nigdy nie zdarza i że „przypadkowe” dobranie odpowiedniego szala do sukni było wynikiem wielodnio- wych poszukiwań.

BIBLIOTEKA  
WILNO